

Katarzyna Bonda

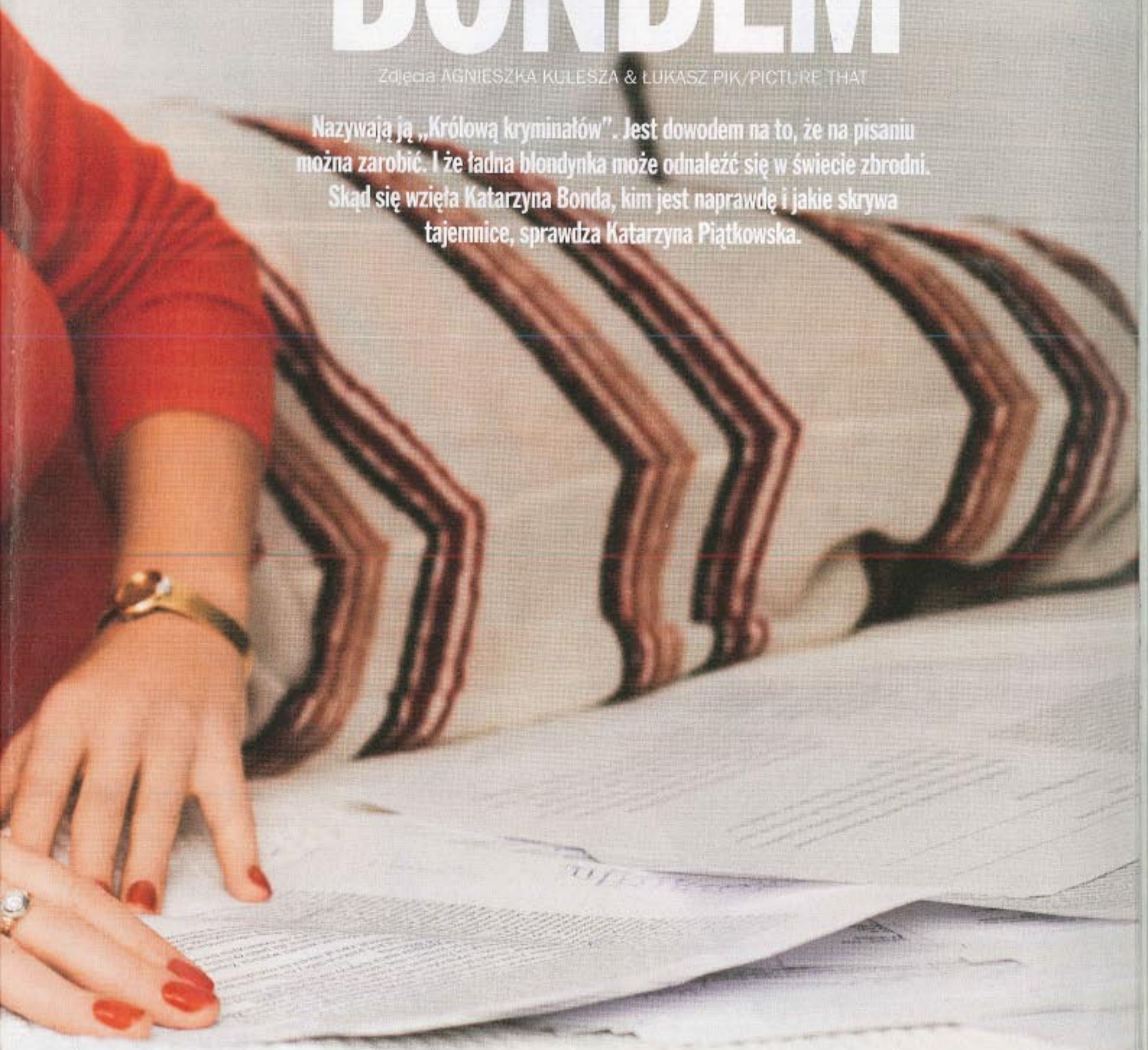


NIE JESTEM BONDEM

Zdjęcia AGNIESZKA KULESZA & LUKASZ PIK/PICTURE THAT

Nazywają ją „Królową kryminalów”. Jest dowodem na to, że na pisaniu można zarobić. I że ładna blondynka może odnaleźć się w świecie zbrodni.

Skąd się wzięła Katarzyna Bonda, kim jest naprawdę i jakie skrywa tajemnice, sprawdza Katarzyna Piątkowska.



Czy bycie ponętą blondynką pomaga w świecie zarezerwowanym głównie dla mężczyzn?

Przez długie lata to było moje przekleństwo. Chodziłam tylko w skórzanych kurtkach, bojówkach i glanach.

Włosy związywałam w kucyk. Nauczyłam się nawet mówić niskim głosem. Przebierałam się, żeby zminimalizować efekt uboczny. Wkroczyłam przecież w świat mężczyzn – prokuratorzy, śledczy... Gdy jest się ładną kobietą, łatwiej jest wejść w ten świat. Choć na początku traktują cię jak obiekt seksualny. Próbują podrywać i nie traktują poważnie. Faceci mają łatwiej, bo nie muszą udowadniać, że mają mózg. A ja musiałam. Gdziekolwiek bym nie poszła, na jakikolwiek wywiad się nie umawiała, zawsze rozmowa zaczynała się od pytania: „Dlaczego taka ładna, sympatyczna pani zajmuje się taką tematyką?”. Dlaczego Marka Krajewskiego o to nie zapytają? Albo Mariusza Czubaja, albo Zygmunta Miłoszewskiego?

– **Dlatego, że żaden z nich nie jest ładną, sympatyczną panią.**

Właśnie. Oni wchodzi i od razu jest rozmowa na poziomie. A ja muszę, właściwie musiałam, bo teraz już mam lepiej, udowadniać, że mam pojęcie, o czym przyszedłam rozmawiać. Uwielbiam ten moment, kiedy do mojego rozmówcy dociera, że nie jest ze mną łatwo, że nie jestem stereotypową blondynką, mam wiedzę i jestem zdolna do logicznego myślenia. Wtedy następuje „klik” i wejście rozmowy na zupełnie inną płaszczyznę.

– **Zaczynają rozmawiać jak z profesjonalistą.**

Gdy okazuje się, że odróżniam podejrzanego od oskarżonego, że znam przepisy prawne i rozumiem materię, w której pracuje mój rozmówca, zaczyna się inna rozmowa. Żeby znaleźć elementy, które są mi potrzebne do fabuły, często muszę się spotkać kilkakrotnie. Muszę więc zdobyć zaufanie. Więc wygląd kiedyś mi nie pomógł, a teraz nie ma znaczenia, bo pomaga mi to, że moje książki są wszędzie i stałam się rozpoznawalna.

– **Przedstawiasz się: „Nazywam się Katarzyna Bonda” i wszystkie drzwi stają przed Tobą otworem?**



„W życiu zawsze są momenty krytyczne, ale w moim przypadku to było ekstremalne. Z mojej winy zginął człowiek. To mnie roztrzaskało dokumentnie. Jednym z elementów, który przywrócił mnie do życia, była moja książka. Razem z ludźmi, lekami i terapią”.

Może nie aż tak, ale teraz rozmawiają ze mną dużo chętniej. Niektórzy moi eksperci stali się czytelnikami. Czasami nawet sami do mnie dzwonią, żeby opowiadać historie. To dobrze, bo wszystko co opowiadam, biorę z rzeczywistości. Wszędzie atakuje mnie fabuła. Nawet na urlop w Bieszczady nie mogę pojechać, bo zaraz znajduję tam opowieści.

– Dużo z Ciebie ma Twoja bohaterka Sasza Żaluska z „Pochłaniacza”, „Okularnika” i „Lampionów”?

Wszystko, oprócz koloru włosów. Dałam jej rude, bo sama zawsze chciałam takie mieć. Rudzielce mnie fascynują, bo według mnie to pewnego rodzaju wybrańcy, trochę inni. A ja nigdy nie chciałam być taka jak inni. Sasza posiada wszystkie moje wady i mankamenty.

– A zalety?

Nie wiem, czy ona ma jakieś zalety. I nie wiem, czy ja mam. Na pewno jest pracowita, wie, czego chce. Jest pozornie silna na zewnątrz, ale w środku jest miękka. I nie zna się na miłości. Zupełnie tak jak ja. Mój problem polega na tym, że ja dokładnie wiem, czego chcę i nie idę na kompromisy. Nie zwiążę się z nikim tylko dlatego, żeby nie być sama. Doskonale się czuję w swoim towarzystwie. Całe życie walczę i chodzę w zbroi, do której ciągle dokładam nowe warstwy. Jeśli już miałabym z kimś być, to musiałby to być ktoś, przy kim mogłabym mówić normalnym kobiecym głosem. Poza tym mam wygórowane wymagania, jeśli chodzi o prezenty. Nie zadowolę się cyrkoniami. Najlepszym przyjacielem kobiety są przecież brylanty. A tak w ogóle pisanie książek jest samotniczą działalnością i życie z pisarzem nie jest łatwe. Po to pisarze jeżdżą do domów pracy twórczej, żeby pisać w samotności. Ja nie muszę. Dałam więc tej mojej Saszy całą moją emocjonalność.

– Musisz mieć skłonności ekshibicjonistyczne.

Nie ma bardziej ekshibicjonistycznego zawodu niż pisanie książek. Między wierszami zawsze mrugam do czytelnika. Musiałam dać Saszy moje cechy, żeby była prawdziwa.

– Jak pracuje Katarzyna Bonda?

Najpierw myślę, analizuję, zbieram dane. Mam wpisane w proces pracy twórczej pół roku leżenia. Tak więc najpierw leżę i myślę. Zakładam kocyk na głowę, żeby się odkleić od

wszystkiego. Książka musi mi się ułożyć. Potem ruszam na dokumentację. Czyli wymyślam historię, a później uprawdopodobniam ją i znajduję elementy, które sprawiają, że czytelnik będzie w stanie się w niej zakotwiczyć. Zapis to jest ostatni etap pracy.

– Robisz coś wtedy oprócz leżenia i myślenia?

Zajmuję się córką, lepiej pierogi, wychodzę z psem na spacer. Często słyszę pytanie, jak to wszystko znosi moja córka. No jak znosi? Normalnie. Przecież ja nie żyję cały czas jak w maszynie do mięsa. Gorący jest okres promocji, jakieś dwa, trzy miesiące. Trudny jest też moment, gdy leżę i wymyślam, zapisuję, prowadzę sama ze sobą burzę mózgow. To jest męczące, ale ja to bardzo lubię. Czasem muszę w trakcie wymyślania już badać pewne rzeczy, czy to się da tak zrobić, jak wymyśliłam. Jak już książka się układa, jest wspaniale. Jest euforia. Ale podszyta strachem, niepokojem, bo nigdy nie wiem, co mi z tego wyjdzie. Za każdym razem to jest nowe wyzwanie i nie ma znaczenia, ile książek już napisałam. Właściwie z każdą kolejną jest gorzej, bo wisi nade mną odpowiedzialność, żeby nie zawalić akcji i dać czytelnikowi coś nowego.

– Po prostu żyjesz w ciągłym stresie.

Trochę tak, ale ja to lubię. Stawiam sobie poprzeczkę coraz wyżej.

– Żeby tak sobie leżeć, potrzebne są pieniądze.

Dożyłam tego momentu, że już się tym nie muszę martwić. Mam za co leżeć i myśleć. Zresztą ja zawsze tak pracowałam, nawet jak byłam bardzo biedna.

– To z czego wtedy żyłaś?

Pożyczałam, sprzedawałam wszystko z domu.

– Musiałaś mieć gigantyczne pragnienie pisania, skoro pozbyłaś się z domu ulubionych przedmiotów.

Miałam. A poza tym wiesz, jakie to jest przyjemne, jak wyzbywasz się wszystkiego i nie masz kompletnie nic?

– Nie było Ci wstyd?

I wstyd, i żal. Wstawiłam do komisu stół i dostałam za niego 150 złotych. Obciach, co? Ale to nie jest tak, że w ogóle nie miałam pieniędzy. Co pół roku dostawałam tantiemy. Ale musiałam nauczyć się żyć inaczej niż wtedy, gdy co miesiąc dostawałam pensję. W międzyczasie wpadały mi

różne pieniądze – a to sprzedawałam prawa na film, na serial. Ale miałam gorsze momenty. Zostałam sama z dzieckiem, miałam kredyt na mieszkanie i nie miałam pieniędzy. Myślałam: jestem wariatką. Ale zaparłam się. Niczego innego nie umiałam oprócz pisania. Jednocześnie moje książki były już na tyle popularne, że dostawałam sygnały od czytelników, że jest dobrze i że chcą więcej. Choć zdarzało się na targach, że niewiele osób czekało do mojego stolika, żeby ze mną porozmawiać, poprosić o autograf. To było bardziej upokarzające niż konieczność sprzedania stołu.

– Opłaciło się. Jesteś teraz jedną z najlepiej, o ile nie najlepiej zarabiającą pisarką w Polsce. Ale przyznaj, że jesteś ryzykantką.

Każdy pisarz to ryzykant, ja też. Całe moje życie zostało podporządkowane pisaniu. Jedyne, czego nie poświęcę, to moja córka. Pewnie gdybym jej nie miała, napisałabym więcej książek. Ale ona jest moim światłem i oddechem. A to jest ważniejsze niż wszystkie książki świata. Zawsze twierdziłam, że geje i bezdzietni mogą więcej w sztuce. Zawsze wierzyłam, że moja karta w końcu się odwróci. Mam też przyjaciółkę Gosię, która mnie w tym utwierdziła, gdy zamiast do pracy poszłam na płatne studia ze scenopisarstwa, na które ona pożyczyła mi pieniądze. Powiedziała mi: „Nie martw się, kiedyś będziesz wielką pisarką i ty będziesz mi pożyczała pieniądze”. Oddałam jej z nawiązką. Ale ona oprócz pieniędzy dała mi wiarę, że dam radę. Gdybym nie miała kogoś takiego, nie udałoby mi się. Dzięki niej, i własnemu przekonaniu oczywiście, wiedziałam, że mi się uda.

– Skąd się wzięła ta pewność siebie?

Tyle razy już klękałam i tyle razy pochylałam głowę, że nie zostało mi nic innego, jak wejść na ścieżkę wojownika. Przegrywałam bitwy, ale wojna trwała nadal.

– Kasia na wojennej ścieżce. Kiedy się na niej znalazłaś?

Gdy wyjechałam z rodzinnej Hajnówki, miałam 19 lat. Już w liceum postanowiłam, że zostanę dziennikarką. Wywołało to wielką awanturę w moim rodzinnym domu. Dla moich rodziców to był cios. Zawsze mi mówiono: „Kasiu, jesteś taka ładna, to szybko znajdziesz męża”. Tęby mi się życie skończyło w wieku 18 lat!

A ja chciałam żyć. W trzeciej klasie liceum pojechałam do Białegostoku do redakcji „Kuriera Podlaskiego” i powiedziałam redaktorowi naczelnemu, że chcę być ich korespondentem z Hajnówki. Potraktował mnie jak szalone dziecko i na odczepnego kazał przysłać tekst. Napisałam o prywatyzacji jednego z największych zakładów pracy w moim rodzinnym mieście. „Kurier” to wydrukował i wybuchła bomba. W tekście wykorzystałam wypowiedzi dyrektora tego zakładu. On mi wszystko powiedział, bo nie sądził, że ktokolwiek opublikuje to, co napiszę. Rodzice kazali mi przepraszać, a ja nie chciałam. Dostałam staż. Awansowałam. A potem przyjechałam do Warszawy na studia. Okazało się, że studiowanie dziennikarstwa zupełnie nie ma sensu. Historia prasy, ekonomia? Wolalam pisać. Przeniosłam się na studia zaoczne i zaczęłam pracować w „Expressie Wieczornym”.

– Skoro tak świetnie Ci szło, dlaczego rzuciłaś dziennikarstwo?

W aktach znalazłam opowieści, nie o zbrodni, ale o ludziach, ich marzeniach, ich losie i o tym, co ich pchnęło na drogę przestępstwa. A tak naprawdę to właśnie opowieść zawsze mnie interesowała. Zaczęłam więc pisać powieści kryminalne. Wydawało mi się, że nie mogę zająć się literaturą piękną, bo taki pisarz powinien być dojrzały, stary i doświadczony. Poza tym z powodów pragmatycznych wybrałam tę tematykę. Orientowałam się w niej całkiem nieźle, bo przecież w gazecie zajmowałam się sprawami sądowymi. Pierwszą książkę zapisałam w pracy.

– Co więc się stało, że ostatecznie zrezygnowałaś z pracy w redakcji?

Wypadek, w którym z mojej winy zginął człowiek. Ale nie chcę o tym opowiadać...

– Bez niego nie byłoby tej Katarzyny Bondy, która teraz siedzi ze mną przy stoliku...

Wypadek był punktem granicznym. W życiu zawsze są momenty krytyczne, ale w moim przypadku to było ekstremalne. Już wszystko o tym powiedziałam, wypowiadałam się. Za każdym razem grzebię w ranie, choć minęło już tyle lat. Natomiast był to dla mnie dowód, że jeżeli nie jesteś blisko siebie i działasz wbrew sobie, to w pewnym momencie los ci zagra na nosie.

– Co robiłaś wbrew sobie, że wydarzyło się coś tak dramatycznego?

Już rok wcześniej chciałam odejść z redakcji. Nie zrobiłam tego, bo dobrze zarabiałam, bo bałam się, bo nie wiedziałam, jak miałabym żyć bez jedynej rzeczy, którą potrafię robić, czyli bez pisania. Wtedy pracowałam w „Newsweeku”. Pojechałam w teren na zastępstwo, bo ktoś miał urlop. Tylko że to ja powinnam iść na urlop. Byłam potwornie zmęczona. Całą drogę modliłam się, żeby coś się stało, żebym po prostu nie musiała już podejmować decyzji wbrew sobie... To, co mi się wydarzyło, może przydarzyć się każdemu, kto jeździ samochodem. To były ułamki sekund... To mnie roztrzaskało dokumentnie. Sama nie chciałam żyć. Miałam depresję, zespół stresu pourazowego, nie mogłam wrócić do starego życia, a inaczej nie umiałam żyć. Leczyłam się, prawie się zabiłam.

– A jednak siedzisz tu przede mną. Co lub kto Ci pomogło? Bliscy? Terapia?

Na początku ludzie w jakimś stopniu Ciebie wspierają, mówią, że będą z tobą. Ale mają swoje życie, a to bycie z tobą trwa góra kilka tygodni. A ty zostajesz sama. Najgorsze jednak w tym wszystkim jest poczucie bezsensu istnienia, a jednocześnie świadomość, że nie ma nic cenniejszego od ludzkiego życia. Oczywiście proces dochodzenia do siebie jest procesem samotnym. Nikt za mnie tego nie robi. Ale jednym z elementów, który przywrócił mnie do życia, była moja książka. Terapeutka kazała mi ją wygrzebać i przeczytać. Nie widziałam w tym sensu, ale się jej postuchałam. Jak zaczęłam czytać, doszłam do wniosku, że to jest bardzo złe i że muszę to poprawić. Jak zaczęłam poprawiać, złapałam się na tym, że pierwszy raz nie myślę o tym, co

się stało, że się w jakiś sposób odklejam i poczułam ulgę. Oczywiście to jest uproszczenie, bo nie sama praca nad książką mnie uratowała. Gdyby nie było innych elementów – ludzi, leków, terapii, toby mi się nie udało. Przy okazji okazało się oczywiście, kto jest prawdziwym przyjacielem. Sięgając dna emocjonalnego, niedotykalnej przestrzeni, mistyki śmierci i utraty, zupełnie inaczej postrzegasz inne elementy życia. Nie interesuje Cię konformizm, nie interesują Cię rzeczy wygodne, przestrzeń tylko i wyłącznie do zabawy, ponieważ zaczynasz dostrzegać więcej, tak jak byś nagle zyskała ogląd całej sytuacji. Wcześniej tego nie miałam. Byłam rozpieszczonym bachorem, który może wszystko i któremu wszystko się udaje. Myślę, że przetrwałam to, bo w jakiś dziwny sposób okazało się, że pisanie jest bardzo moje. I w pisaniu chcę spró-

bować wszystkiego. Jestem orędowniczką literatury środka. Wszystkie „bookery” i „pulitzery” to jest literatura środka, a nie opowieści, których nikt nie rozumie. Wierzę w taką opowieść, która może zmienić życie, która może leczyć, która daje relaks. W taką, że czytelnik podczas czytania rechocze w głos, tak jak ja, gdy czytałam „Mistrza i Małgorzatę”. Opowieść, której nie jesteś w stanie przestać czytać, bo nie możesz oderwać się od historii. Więc to będzie taka opowieść, tylko jeszcze nie wiem, na jakiej półce w księgarni będzie stała.

Rozmawiała
KATARZYNA PIĄTKOWSKA
Zdjęcia AGNIESZKA KULESZA &
LUKASZ PIK/PICTURE THAT
Stylizacja PAWEŁ KĘDZIERSKI
Makijaż ZOSIA KRASUSKA-KOPYT
Fryzury EMIL ZED/
VAN DORSEN ARTISTS
Produkcja PAULINA ALEKSIEJUK

„Całe moje życie zostało podporządkowane pisaniu. Jedyne, czego mu nie poświęcę, to moja córka. Pewnie gdybym jej nie miała, napisałabym więcej książek. Ale ona jest moim światłem i oddechem. A to jest ważniejsze niż wszystkie książki świata”.

